

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

WSCHÓD SŁOŃCA.

Świt!... Pierś ziemi sen kołysze :

Otulona w mgły i cisze,

Czeka nocy końca.

Drzewa, wody, kwiaty drzemią ;

Sen na ziemi, mrok nad ziemią...

Słońca! słońca! słońca!

Wysrebrzała gwiazda świtu

W kryształową toń błękitu

Skryła się i zgasła.

Poczerwieniał wschód... Dolina

Rabinowe światła płyną,

Dnia letniego hasła.

Nagle wybiegł snop promieni,

Na milczącej wód przestrzeni

Zbudził te fale...

Drżenie przeszło przez staw cały,

Jakby wzduż sie posypały

Perły i opale.

Tchnęła ziemi pierś rozkoszą.

Senne kwiaty czoła wznoszą,

Drżą przebudzeń dreszczem...

Lecą światła im na głowę,

Złote, srebrne, purpurowe,

Brylantowym deszczem.

Brzmi pieśń ziemi szklana, cicha...

To szmer fali, to wiatr wzdycha

Piersiami sennemi...

Wśród tęczy barw powodzi

Z tajemniczych krań wschodzi

Oblubieniec ziemi.

Za promieniem promień wzłata

Gdzieś z za świata na pierś świata...

Ziemio! blaski chwytaj!

Drzew schyliły się szpalery ;

Płyną szumy, szepty, szmery :

Królu nieba, witaj !

Na błękitów tło srebrzyste

Weszło słońce złote, czyste,

W ogniach i purpurze...

Rozwinęły się powoje,

Lilie wzięły śnieżne stroje,

Woń posłały róże.

Gdzie traw puchy aksamitne,

Białe, żółte i błękitne

Motyle pognały ;

Zabrzmiał ptasząt głos srebrzysty :

Śpiew, wołanie, krzyki, świsty...

Koncert dnia wspaniały.

W hymn uderzył świat zbudzony

Płyną pieśni, biją dzwony,

Busza lud z robotą.

Pochylił się łan pszenicy...

Dzień pogodny, ciepły, śliczny...

Z niebios kapie złoto.

KTO MA SERCE, TEN I SIŁY ZNAJDZIE.

Zima była mroźna i śnieżna, tak sroga dla wszystkich żyjących stworzeń, iż znajdowano mnóstwo zmarzłego ptactwa, a rybacy wyciągali w sieciach setki ryb spuchłych, wzdętych, nieżywych.

W jednej z wiosek, oddalonych od kościoła i kolei, znajdowała się chata pochylona i nędzna bardzo, złożona z czterech izb, zamieszkałych przez cztery rodziny ubogich ludzi, zaledwie po kilka mórg ziemi posiadających. Najbiedniej jednak było w izbie Józefa Oraczka, który na początku zimy został przygnieciony przez drzewo podcięte w lesie i odtąd, złożony ciężką chorobą, nie mógł chodzić na żaden zarobek. A tu trzeba było myśleć o wyżywieniu żony i pięcioro dzieci. Żonę miał Oraczek już drugą, która niechętnie patrzyła na dwoje pasierbów: Jaska i Marysię, dbając tylko o własny drobiazg.

Marysia musiała cały dzień krzątać się w chacie, niańczyć dzieci, nosić wodę ze studni, pomimo strasznych mrozów, a czasami nawet wybrać się z małemi rączkami saneczkami do lasu i tam zbierać i łańcować suche gałęzie.

Szczęściem, że Marysia była z natury pracowitą i dzielną, niczego się nie lekła i, choć zimno przenikało ją do kości, odziewając ręce do krwi pękały, a w borze odzywały się jakieś tajemnicze szelesty, ona spełniała pracę swoją z piosenką na ustach.

Ale brat jej, Jasek, był bardziej oporny i hardy z natury, nieraz kłócił się z macochą, ujmując się za siostrą i zahukanym ojcem.

Zła macocha, rozgniewana na Jaska, pęty podburzała ojca, aż ten wypędził syna z chaty, zabraniając mu wstępu nie tylko do swego domu, ale i do rodzinnej wioski.

Poszedł Jasek w świat w nędznej kożuszy nie, w dziurawej czapce i wykrzywionych butach. Poszedł w świat szeroki, nie mając grosza w kieszeni, nie mając nic, tylko ręce do pracy, głowę, do której uparcie wracało pytanie: za co go jak psa wypędzono.

Marysia opłakała brata i starała się nie spuszczać go z oczu, a że Jasek w okolicznych wioskach najmował się do cepów, to do pilowania desek, więc korzystała z każdej wolniejszej chwili, aby dobieść do brata, zanieść mu kawałek chleba z własnego żyta, lub sera od krowki Bielichy, powiedzieć dobre słowo, zabrać koszulę do wyprania, lub zreperować odzież.

Tak schodziły tygodnie, aż nadszedł ów okropny dzień, w którym leśny przywiozł z boru Oraczka, jęczącego w strasznych bólach. Znalaziono go, przygniecionego przez sosnę, ze zdruzgotaną nogą.

Sprowadzono doktora z miasta, który orzekł

że koniecznie trzeba zawieść chorego do szpitala, aby mu odjąć nogę, ale ani on, ani żona jego słyszeć o tem nie chcieli.

Sprowadzono miejscowego owczarza i kilku owczarzy okolicznych, nadto baby znachorki, ale leki ich nie pomagały. Oraczek zbliżał się do grobu.

I oto od trzech dni zdawał się być palono nad nim gromnice, odmawiano ostatnie modlitwy i okadzano; cierpiał okropnie, męczył się, wzywał śmierci, lecz umrzeć nie mógł! Trzeciego dnia wieczorem, gdy Orackowa wyszła do obory, umierający cichym jękiem przyzwał do siebie Marysię:

— Maryś, — mówił — ja bez Jaska umrzeć nie mogę, coś mnie w sobie żre, tem go wygnał jak psa, bez żadnej jego winy, abym jeno spokój od baby miał. On się nieborak może przez to zmarnuje, może do złych ludzi przystanie, może się na złodziejstwo i rozboje puści, kto to wie, bieda różne rzeczy człeka radzi, boć on jeszcze dzieciuch, na szesnasty rok obróciło mu się dopiero. Maryś, żeby on tu był, tobym mu pobłogosławił i w chacie zostać przyporuczył, nad wami i gospodarką baczenie mieć kazał. A tak to strach mi umrzeć, bo jak mnie Pan Bóg spyta, com zrobił z własnem dzieckiem, gdzie się ono obraca? To ja powiem, nie wiem. A wtedy dusza na wieczny ogień pójdzie! O Jezu. o Jezu! żeby Jasiek tu był!

I zapłakał biedny Oraczek.

— On tu będzie, tatulu, będzie przed ranem.

— Kto?

— Jasiek.

— Manisz!

— Nie manię, tatulu, ja wiem, gdzie Jasiek jest; niedaleczko jest, pójdę i przyprowadzę, żebyście tatulu spokój i pocieszenie mieli.

— Niech cię Najśw. Paniienka prowadzi, a mnie jeszcze parę godzin żyć pozwoli!

Marysia zasznurowała trzewiki, okryła się chustką, pocałowała ojca w rękę i do drzwi się zwróciła.

— A nie strach ci będzie nocą bez pole gnać — zawołał za nią ojciec.

— Nie strach i bez pole i bez las — odpowiedziała już za drzwiami i poszła. Z godzinę postępowała szeroką drogą, w końcu której coraz wyraźniej las się zarysowywał. Noc była mroźna, gwiazdy migotały wysoko, wicher zaciął gwałtownie, zapuszczając mroźne tchnienie między fałdy chustki dziewczynki i pod jej kaftanik z wytartego barchanu, szczypiąc niemilosłownie twarz i ręce. Kureczyła się za każdym podmuchem, twarz chustką po uszy zakrywała, lecz postępowała ciągle.

Las zaczynał się rzadkimi drzewami; Marysia zatrzymała przy jednym, z pomocą rąk i kolana ułamała nisko rosnącą gałąź, oczyściła ją z wyrastających gałązek i uzbrojona w kij, prze-

zognęła się i weszła między gęste drzewa. Nie tak jej tu raźnie było jak na polach, niebo wyiskrzane gwiazdami kryło się za konarami ciemnych sosen, płaty śniegu tajemniczo bielili się na niskich krzakach, las pełen jakichś zagadkowych szmerów i szelestów. Marynia dech w piersi zapierała, chwilami przyspieszała kroku, chcąc prędzej uciec niebezpieczeństwa, to znowu przystawała, oglądając się trwoźnie. Po półgodziannym marszu, już poczęła oswajać się trochę z ciemnością, wtem uczuła nagle, że coś ją pochwyciło i silnie przytrzymało za chustkę. Krzyknęła przeraźliwie, szarpnęła się, padła na twarz bez zmysłów prawie. Chłód otrzeźwił ją szybko, poczęła nadśledzić — cisza zupełna panowała dokoła. Co to było? czyżby to duch ojca chciał ją zatrzymać? Serce jej biło, jak młotem, ale się podniosła, a czując zimno dojmujące, chciała okryć się lepiej chustką — lecz chustki nie miała na sobie.

(Dokończenie nastąpi.)



GROSIK BOŻY.

(Ciąg dalszy).

— A może, dziatku, nie wam nie dano?
To chciałem wybiegł bez jadła rano,
To się ochotnie podzielę z wami.
Oczy staruszka zabłysły łzami.
Wziął z mojej ręki chleba połowę,
A wznioślszy dłonie nad moją głowę,
Rzecz: — Gdyś, dziecie, chleba ostatkiem,
Chętnie się z biednym podzielił dziadkiem,
Czuając jak przykro temu, co łaknie —
Niech nigdy tobie chleba nie zabraknie!
Bo miłosierdzie, to grosik Boży,
Niech tobie jeden tysiące mnoży!
Gdy odszedł dziadek, ja, dla ochłody
Idę do strugi napić się wody.
Schylam się, patrzę — na dnie potoku
Coś nagle błysło mojemu oku...
Więc skaczę w wodę z wielką ochotą —
Dostaje grosik nowy, jak złoto.
Schowam ten grosik, podarek Boży,
Niechaj nam jeden tysiące mnoży!
Zbiegło lat parę od chwili owej,
I znowu nadszedł dzień odpustowy,
A razem jarmark — więc ludzi wiele
Spiesz, by miłą ucieść Niedziele,
Świętej się oddać opiece Nieba,
A razem sprawić, co komu trzeba.
Więc wraz z innymi w wczesny poranek,

Z matką na jarmark pospiesza Janek,
Z chłopca owego przy lasce Bożej
Wyrósł parobczak składowy i hoży,
Silny i zdrowy jak dębeczak młody,
A blask Jankowej dzisiaj urody
Podnosi jeszcze ubiór nie lada!
Czapka z barankiem na ucho spada,
Koszula na rym biała i nowa,
Sukmana spodem karmazynowa;
Pod szyją z wstążki zaścieżka kraśna.
Na matce także spódnica jasna,
Chustka w bukiety tkana wzorzysto,
Dostatnio na niej, schludnie i czysto.
A jak nie skąpo w ich dziś ubiorze,
Tak też nie próżno w mieszk, w komorze.
Bo łaska Pana, ów grosik Boży,
Wciąż się Jankowi w dwójnasób mnoży.
Co tylko młodzień zamyśli, peczęnie
Wnet mu najpiękniej wzrasta widocznie
Ludzie aż prawią przeróżne dziwy
O doli Janka dziwnie szczęśliwej.
Młodzieniec wszakże śmieje się z tego,
Bo zna przyczynę bogactwa swego.
Cnota, poczciwość i nie zachwiana
Serdeczna — wiara to skarby Jana,
Ciesząc bliźniego w każdym frasunku,
Nie puści nędzy bez opatrunku,
A dobrem sercem zacnego syna
O starej matce nie zapomina.
Za te więc Stwórcy Jankowi cnoty
Błogosławieństwa śle premień złoty.
Nie zna on, co być w ciężkiej potrzebie,
Chociaż rok drugi już na swym chlebie,
Sam gospodarką trudni się całą.
Ma on na sprzedaż zawsze niemało.
Więc oto teraz jedzie do miasta,
Przy wózku stąpa krowa graniasta,
Dwoje owieczek leży na przodzie,
Kilkoro prosiat w tyle na chłodzie;
Zaś u drabinek bujają kosze,
Ztąd wyglądają piękne kokosze.
A nie opodal od gospodyni
Zamknięte szczelnie w drewnianej skrzyni
Sery i masło, mleko śmietana.
Spiesz, od świtu, by zaraz zrana
Stanąc na targu w miasteczku blizkiem
Kupić nie drogo — a sprzedać z zyskiem.
Wózek kowany szybko pomyka,
Cmoka na swego Jaśko konika,
Bo już w różanej płynąć kąpieli
Słonko za chwilę świat rozweseli.
— Dalej że, gniady! — woła — no, nuże!...
Bo dzionek biały srebrnieje w górze,
Więc spieszyć trzeba. A patrzcie, matko,
Co się tam z naszą dzieje gromadką?
Matka lyczaną wznosi pokrywę:
— O Boga dzięki, wszyściuchno żywe
Gdy rozprzedamy szczęśliwie komu,
Piękny grosz znowu przyjdzie do domu.
— A czy wy, matko, sobie pomnicie,

